№ 36 Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 24 Sierpnia (5 Września) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku bieżącego. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

SOSNA.

Nad jeziora tonią siną
Wiatr sitowie gnie,..
Twe serduszko, och, dziewczyno,
Ową chwiejną, wodną trzciną
Niech nie będzie, nie!

Płyną chmury po błękicie,
Nad jeziorem mgły...
Nędzne, smutne takie życie,
Co się lęka czegoś skrycie,
Na szmer każdy drży.

Na samotnej sterczy skale
Sosna, szumiąc w dal,
Wokół burze wrą i fale,
Ona stoi wciąż wytrwale
Szydząc z burz i fal.

Cóż, że burza się wysili,
Ztąd jej żaden srom,
Ona czoła jej nie schyli,
Chyba strzaska w jednej chwili,
Chyba rzuci grom.

Gdy serduszko twe, dziewczyno,
Dotknie przykry traf,
Nie bądź nigdy wątłą trzciną,
Niech ci z oczów łzy nie płyną,
Czoło mężnie staw!

Lepszy sosny tej na szczycie
Koniec nagły, zły,
Lepsza śmierć, niż takie życie,
Co się lęka czegoś skrycie,
Na szmer każdy drży!

W. Dzierżanowski.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

XII.

Konrad miał słuszność, mówiąc, że Józia taiła przed nim stan swego zdrowia i że to właśnie spowodowało jej ostatnie ciężkie zasłabnięcie. Już w ów pamiętny wieczór oświadczyn czuła się bardzo osłabioną, a wzruszenie i szczęście odebrały jej siły do reszty. Gdy Konrad, około pierwszej w nocy, pożegnał ostatecznie ją i panią Dalecką, padła na łóżko jak martwa, oczu do rana zmrużyć nie mogąc.

Sama przyznała się później, iż dałaby była „Bóg wie co" za to, żeby mogła wówczas dzień następny przeleżeć i nie ruszać się z łóżka. Ale jakże tu było przyznać się do tego pragnienia? Coby Konrad był pomyślał? Nie, nigdy, nigdy!

To też, gdy Wiktor, powiadomiony o wszystkiem przez Konrada, przybiegł nazajutrz uszczęśliwiony i postanowił obchodzić owe zaręczyny z „ogromnym hukiem," uśmiechnięta, dobywając ostatka sił, zgodziła się na wszystko zgóry. Nigdy jeszcze w życiu brat nie wycałował jej tak i nie wyściskał, jak wówczas. Mówił, że najgorętsze a zazdrośnie tajone marzenia jego miały się spełnić, Konrada zaś nazywał pół-bogiem. Jak tu wobec tego można było powiedzieć: „Ja dziś nie mogę z wami się cieszyć; dajcie mi wytchnąć choć jeden dzień..."

„Ogromny huk," dzięki interwencyi Konrada, ograniczył się wprawdzie tylko na owym spacerze, a później na wspólnych odwiedzinach teatru „Rozmaitości," ale i to było już nad siły słabego dziewczęcia. Chłodna noc, przy powrocie, dokonała reszty i nazajutrz powtórzył się paroksyzm kaszlu, gorączki i osłabienia, taki sam, jaki już raz w lecie przykuł ją do łóżka i zapędził do szpitala.

Tym razem jednak troskliwa opieka najpierwszych lekarzy, oraz dozór brata i narzeczonego, szybciej i skuteczniej zażegnały wszelkie niebezpieczeństwo. Konrad trzy noce przepędził bezsennie przy jej łóżku, baczny na każde skinienie, samą już obecnością swoją nowe wlewając w nią siły. A i Wiktor nie lenił się w posługach. Bywało, że spojrzy tylko i domyśli się, czego potrzeba, zanim Konrad lub Józia mają czas usta otworzyć.

— Dobrze! Wiem! Lecę! — i leciał.

A ona, błogo uśmiechnięta, mało nawet zmieniona, jedynie tylko bez sił, ale zato spokojna i cierpliwa nad wszelkie pojęcie, wprowadzała w zdumienie wytrawnych lekarzy, którzy, ściągnięci tu przez Konrada, sądzili w pierwszej chwili, że mają do czynienia z ostatnim błyskiem dopalającej się lampy.

Nie wiedzieli o jednem, że serce chorej wypełniało bezgraniczne szczęście, że ona sama starała się teraz o to, aby przyjść jaknajprędzej do zdrowia i w tym celu spełniała ściśle wszelkie zalecenia. Gdy Konrad, stosując się do rad jednego z profesorów, zabronił jej mówić przez całe dwie doby, a potem sam, w zapomnieniu, spytał jej o coś, uśmiechnęła się tylko i wskazała ręką na gardło. Wierzyła mu i tym, których on przyprowadził. O ile tam, w szpitalu, podczas lata, opuszczona przez wszystkich, pragnęła umrzeć i poddawała się chorobie, o tyle teraz chciała żyć jeszcze długo, chciała wyzdrowieć jaknajśpieszniej. Pilno jej było do szczęścia.

Dlatego to właśnie podziw zebranych u jej łoża lekarzy nie miał prawie granic.

— Doprawdy, kolego — mówił do Konrada jeden z profesorów, — że to jakaś rogata dusza. Może nie znacie tej baśni mazurskiej? Ot, widzicie, niby to, że ta dusza nie jest gładka, ale ma rogi, które nie tak łatwo pozwolą jej wyjść z ciała... Będzie się zaczepiała to jednym, to drugim, ot, i nie ucieknie, póki tych rogów nie straci... Widzicie, próżnobym was łudził. Trzeba sobie powiedzieć, że tu są już suchoty... Są, są, nie przeczcie, kochany Dąbrowski, niema gadania... A jednak... Jednak cuda się dzieją... Bo to, widzicie, Bóg wie zkąd, zjawia się naraz i puls lepszy, i ten wygląd róży na wiosnę... powiedzcie sami, czy nie tak?... i kaszel chwilami zupełnie zanika... i siły jakieś zkądś się biorą... Powiadam wam, że ja wobec takich fenomenów mam tylko to jedno objaśnienie: rogata dusza!... Tak też i tutaj... Suchoty są... no, trudno... na nasz rozum są niewątpliwie... Ale co do wyników... rozumiecie?... Bóg to wie!

Mówiąc to, zacny profesor nie domyślał się nawet, jaką otuchą napawa swego słuchacza. Zajmował go przedewszystkiem ciekawy „egzemplarz" w osobie tej młodej pacyentki, co zaś do Konrada, miał go dotąd tylko za przyjaciela Zawadzkiego i temu przypisywał jego w tej sprawie zainteresowanie.

Konrad, pragnąc naradę tę wyzyskać wszechstronnie, wspomniał o kuracyi klimatycznej.

— Otóż to! — brzmiała odpowiedź. — Włochy wogóle, wreszcie Nizza, Mentona lub coś podobnego byłoby tu bardzo pożądane. Zima ta będzie bądźcobądź decydującą o losie chorej, gdyby więc to, o czem mówicie, przyszło z pomocą, ha, wtedy... kto wie... mogłyby być wprost cudowne jakieś rezultaty...

Było to więc zupełnem uznaniem dawniejszych projektów Konrada i ta myśl szczególniej utkwiła w jego głowie. Postanowił teraz uczepić się znów dawnych swoich zamysłów z tem większą siłą.

— A cóż? Środki byłyby na to? — spytał jeszcze sędziwy lekarz, zajęty myślą owej klimatycznej kuracyi.

— Znalazłyby się! — odparł Konrad, rumieniąc się mimowolnie.

— A to niema się co namyślać! Tam pożyje!

Konrad uścisnął w podzięce dłoń starca i na tem się rozmowa skończyła.

Wyjazd, oto co teraz wydawało mu się najpilniejszem, niezbędnem, nieuniknionem. Myśl ta nie opuszczała go już odtąd ani na chwilę. Pochlebiało mu to i cieszyło go, że sam już przedtem postanowił to, co ten doświadczony człowiek teraz tak usilnie zalecał.

Na pomoc jego zamysłom przychodził szybki powrót do sił biednej Józi.

Nie wstawała jeszcze, pomna iż zalecono jej nadzwyczajną ostrożność w pierwszych nowych krokach, a Październik właśnie, po ślicznym wstępie, wysilał się na okazanie swojej mocy, bijąc gwałtownym deszczem o szyby okna. Ale, cо prawda, nie wstawała i dlatego, że, jak sama mówiła, bała się, aby zbyt nagle nie urwały się te wygody i to szczęście, jakiego teraz doznawała.

Pewnego wieczora, trzymając dłoń swoję w dłoni pochylonego nad poduszką Konrada, a patrząc na Wiktora, który siedział u nóg jej, na łóżku, rozcinał zawzięcie jakąś nową książkę i przebiegał szybko oczyma jej karty, mówiła z dziecięcym grymasem, ślicznie na jej twarzyczce odbijającym:

— Otóż na złość będę jeszcze leżała... będę, będę... Bo jakbym wstała, to wy uciekniecie obaj i będę musiała prosić, abyście przyszli i wyglądać tego przyjścia. Ach, jeszcze was nigdy nie miałam tak długo dla siebie, dla siebie samej, wyłącznie... A zepsuliście mię już przez ten czas, i jak zepsuli!... Znosicie codzień tyle, że, wiecie, wczoraj, gdy was nie było, pasłam dzieci stróża winogronami i cukierkami... Zbytki robię?... prawda?... Ale taką przytem miałam z temi dziećmi uciechę!

I zachichotała wesoło do tych wspomnień.

— To też dobrze mi z tem... i nie myślę prędko wstać, nie myślę! — dodała z uśmiechem.

— Zgoda! — szepnął Konrad, całując jej rękę.

Równocześnie nachylił swe usta do jej warg, których musiał odmawiać sobie wciągu całych dni dziesięciu, tych dni, jakie ubiegły od owego wieczora zaręczyn.

Naraz jednak rozległ się głos Wiktora.

— Paradne! Wyśmienite! — wołał młody entuzyasta, doczytawszy do rozdziału.

Zmieszali się oboje i dopiero po chwili, widząc, że Wiktor ani spojrzał na nich i zabrał się znów do rozcinania kilku świeżych kartek, zrozumieli, że to książka była powodem tego wykrzyknika.

Konrad ochłonął pierwszy.

— Nie słyszy, zaczytany! — szepnął, nie podnosząc oczu od twarzy narzeczonej.

— I to tobie zawdzięczam! — odparła Józia. — Tyś mi go odmienił... Dawniej nie pokazywał się tu całemi dniami... Teraz, patrz, każdą wolną chwilę tu spędza... Tylko — dodała ze smutkiem, — jak to on!... Albo siedzi i kreśli coś przy stoliku, albo czyta, jak teraz, o Bożym świecie nie wiedząc... Czasem tylko powie: „Józka, ty teraz musisz być zdrowa... Józka, dwie istoty cię teraz kochają! Konrad i ja!" Wczoraj to powiedział i znów potem nie odezwał się do mnie, pókiś ty nie przyszedł... O! ty nietylko mnie życie przedłużasz, ale i jemu, jemu!

— Cóż tam ja! — odparł Konrad. — To ty go tak trzymasz przy sobie. Przez ciebie on inny.

— Nie, nie! Już ty mnie wierz!

Poczęli się sprzeczać i Konrad, aby zamknąć ten spór, nachylił się do ust dziewczęcia, wpijając się w blade wargi.

Józia zarumieniła się, jak wiśnia, ale ust nie broniła.

— O, tak! — szepnęła tylko. — Psuj mię jeszcze więcej, psuj, a będę lata całe tak sobie leżała...

Mimo to, gdy nazajutrz Konrad, wraz z młodym asystentem profesora, przybyli około południa z wizytą lekarską, zastali ją już ubraną i nawet kokieteryjnie wyświeżoną.

Zgrabniutki szlafroczek ranny, z jasnej, gustownej satynki w liliowe kwiatki, opinał jej kibić. Baczniejsze oko mogło było dostrzedz, że szlafroczek ten był lekko pospinany, nie zaś wykończony subtelnie, gdyż panienki z magazynu na jedno skinienie chorej uszyły go w dwie niespełna godziny i dopiero po południu miały go skończyć, obszywając koronkami i wzmacniając słabsze szwy tymczasowe.

Mimo to ślicznie w nim Józi było.

Siedziała pod ścianą, na małej kanapce, którą poczciwa pani Dalecka kazała przenieść z saloniku na czas choroby swojej pupilki.

Konrad, widząc ją ubraną, uśmiechniętą, inną niemal, niż ta, którą przywykł widywać codzień, z główką, spartą bezwładnie na białej poduszce, nie mógł przez długą chwilę słowa przemówić i stał przy drzwiach zadziwiony, a jednak i uszczęśliwiony zarazem.

Towarzysz wyręczył go w przemówieniu pierwszych wyrazów.

— Co widzę! — zawołał. — Więc już tak szybko awansujemy? Ślicznie!

Józia przyjęła ten okrzyk z uśmiechem, dostrzegła bowiem, że młody lekarz, zabrawszy się do zbadania pulsu i oddechu, zmienił nieco wyraz swej twarzy.

— No, jeszcze trochę starań — rzekł wreszcie — ale jesteśmy na najlepszej drodze! W każdym razie ja tu już jestem po raz ostatni!

To samo powtórzył Konradowi na uboczu, dodając, że stary profesor, zainteresowany chorą, ucieszy się bardzo z tak pomyślnego raportu.

Konrad nie dowierzał jeszcze tej poprawie, ale każdy nowy dzień rozwiewał teraz wszelkie jego wątpliwości. Próżno czekał na jakieś nowe niepokojące oznaki, siły chorej bowiem wracały dość szybko, oczy nabrały znów blasku, a w ruchach przebijała się dawna żywość i energia.

Zauważyła to nawet sama.

— Boże, Boże! — zawołała pewnego razu wobec Konrada i brata, — wiecie, że ja naprawdę już teraz wyzdrowieję. Czuję to sama! Widzę!

Uśmiechnęli się na to obaj, uszczęśliwieni.

Mniej już teraz przy niej przesiadywali, ale nie zaniedbywali jej wcale, jak się tego obawiała. Każdy wpadał po parę razy na dzień, zauważyła przytem, że prowadzą obaj jakieś konszachty.

— Co wy tak ciągle szachrujecie? — zapytała.

A kiedy Konrad w odpowiedzi przyznał otwarcie, że czynią przygotowania do zamierzonego wyjazdu, zapytała ze smutkiem, czy to konieczne.

— Możebyśmy mogli tu zostać? — mówiła. — Jabym się tak strzegła, tak pilnowała, zobaczylibyście, nie zasłabłabym już teraz ani razu...

Przyznawała przytem, że nie umie nawet wyobrazić sobie tego życia, jakie ją tam czeka, zdala od kraju. Tu, w Warszawie, jakżeby była szczęśliwą! Samaby rządziła całym domem, zajmowała się wszystkiem, gospodarowała zawzięcie. Miałaby tu raj prawdziwy.

Ale na wszystko to Konrad miał jednę tylko odpowiedź:

— Będzie i na to czas!

Idzie mu o to, aby szczęście, jakie ich czeka, było jaknajtrwalszem. Tam ona nabierze sił, przyjdzie zupełnie do zdrowia. Nie będą tam przecie wieków całych siedzieć. Doczekają wiosny i wrócą.

Wiktor wzdychał ciężko, ale popierał projekta przyszłego szwagra.

— Tak, tak! — mowił. — Ja na tem najwięcej stracę, najwięcej ucierpię! Sierotą będę tu bez was! Ale, sam widzę, to konieczne!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BAZAR WYROBÓW KOBIECYCH.

L'union fait la force; związek stanowi siłę. Prawda to, od tak dawna znana, iż dowodzić jej inaczej, niż przykładami, byłoby śmiesznością nieledwie. Przykłady te jednak zbyt nęcą, abyśmy, zachęcając zawsze panie nasze do działania wspólnemi siłami, w przekonaniu, że tylko jedność serc i rąk trwałą podstawę życia wytworzyć może, nie poświęcili tu słów paru pierwszej u nas spółce niewieściej.

Krótkie jej losy wykazują przebieg wyjątkowo pomyślny. Oto uwzględniwszy, iż ubogie pracownice, zajęte ciągłą troską o byt powszedni, o dach i chleb na jutro, nie mają ani czasu, ani środków do tworzenia projektów i wprowadzania w życie zbiorowych instytucyj, kilka pań, natchnionych dobrą wolą, założyło przed trzema laty spółkę handlową, wcelu ułatwienia zbytu wyrobom niewieścim. Spółka ta otworzyła natychmiast sklep przy ulicy Wierzbowej, pod firmą „Bazar wyrobów kobiecych," i zakreśliła sobie narazie dość ograniczone pole działania. Pośrednicząc bowiem między publicznością a ubogiemi pracownicami, bądź to przyjmowała wyroby ich do sprzedaży komisowej, bądź też, wmiarę obstalunków, powierzała im roboty już to ze swoich, już z otrzymanych od klientek materyałów.

Stosunek wzajemny Bazaru do pracownic częste wywoływał skargi i częstej również ulegał krytyce. Robotnice, biorąc przedsiębiorstwo całe za dzieło filantropii, nie pojmowały, iż Bazar musi opłacić koszta wynajmu sklepu, urządzenia, administracyi, gildyi ect. i skarżyły się zarówno na pobierany od nich procent, jak i na brak żądanych ciągle zaliczek na materyały, na które Bazar nie posiadał stosownych funduszów.

Tak stały rzeczy do Czerwca r. b. w którym „Bazar wyrobów kobiecych," przestając być przedsiębiorstwem grupy osób, umową związanych, przeszedł na własność zajmowanych dotąd przez siebie pracownic. Zmiana ta, przez ogół zupełnie nieoczekiwana, pozwala dopiero ocenić nietylko cel, powzięty przez inicyatorki przy założeniu sklepu do zbytu wyrobów niewieścich, lecz i skutki, jakie projekt ich, w czyn zamieniony, przynosi ogółowi pracownic.

Wglądać w szczegóły interesu prywatnego, jakim był dotąd Bazar, nikomu nie jest wolno; zamiar też roztrząsania jego czynności dalekim jest od nas; korzystając jednak z upoważnienia dawnej spólniczki firmowej i danych dostarczonych nam przez nią, zaznaczamy, iż rachunki spółki zamknięte zostały po trzech latach bez zysków, ale i bez strat żadnych. Gdy się weźmie w rachubę, że kierowały interesem całym osoby niefachowe, nieznające się na handlu, używające do prowadzenia go kosztownej administracyi i zbyt drogiego sklepu, gdy się obliczy, że Bazar, jako rzecz nieznana, musiał dopiero wyrabiać sobie klientelę i zaufanie publiczności, dodatnie rezultaty przezeń osiągnięte oraz znaczna suma rocznego obrotu, wykażą jasno, iż przedsiębiorstwo tego rodzaju może liczyć u nas na trwałe i rozległe powodzenie.

Zyski bowiem faktyczne nie są i nie mogą być celem takiego Bazaru. Nie chodzi tu bowiem o to, aby firma robiła majątek, lecz aby jaknajszersze koło pracownic, wolne od wyzysku chlebodawców, znalazło w sklepie stały zbyt na wyroby swe po cenach, jakie dotąd nie robotnice, lecz chlebodawczynie brały jedynie. W ten sposób każda z wytwórczyń osiąga sama, bezpośrednio, cały zysk, jaki praca jej przynieść może. Bazar powinien tylko komisowem, pobieranem na towarach, pokrywać koszta swego utrzymania, dać spólniczkom procent od ich wkładów, oraz pozyskać kapitał obrotowy na zaliczki dla tych najbiedniejszych, które inaczej nie byłyby wstanie nabyć potrzebnych do pracy materyałów.

Dawna więc spółka zrobiła—jak widzimy—wielkie dobrodziejstwo pracownicom, utorowała im bowiem drogę, usunęła od skromnych ich funduszów wszelkie ryzyko, zdobyła zaufanie publiczności i wykazała, że kobiety nie potrzebują uciekać się do niesumiennych pośredniczek, lub zaprzedawać w służbę ciężką a bezowocną.

Wszelkie ich bowiem wyroby mogą przy działaniu wspólnemi siłami znaleźć zbyt korzystny, przynosząc nie hurtownym nabywcom, lecz robotnicy całe maximum zysku, jaki z pracy jej wyciągnąć się daje.

Aby jednak cel ten w zupełności osiągniętym został, bazary takie musiałyby być zakładane w każdej niemal dzielnicy miasta. Jeden bowiem może dać stałe zajęcie i utrzymanie setce pracownic zaledwie, a sama Warszawa kilkanaście tysięcy ich posiada. W tym też celu, chcąc zwrócić uwagę ich na utorowaną już drogę, korzystamy skwapliwie z uprzejmości dawnej firmowej spólniczki Bazaru, aby podać czytelniczkom naszym szczegóły organizacyi nowej spółki, w nadziei iż przykład obejmujących ją pracownic podziała może zachęcająco na inne i drogą samopomocy ochroni je od dotychczasowego wyzysku, zapewniając lepsze warunki pracy i bytu tym, których los tak żywo nas zawsze obchodzi.

W tym celu, pomijając stosunek dawnej spółki do nowej, jako znów czysto prywatny, pozwalamy sobie z *projektowanej* dla niej ustawy przytoczyć punkta, które mogłyby stać się zasadą do zawiązywania nowych tego rodzaju instytucyj.

Otóż projekt ten opiewa, iż:

1) Pracownice, przynosząc każda wkładu po 100 rs., zawiązują spółkę komandytową, w celu prowadzenia sklepu do zbytu własnych i innych, branych w komis, wyrobów. Liczba wspóluczestniczek będzie nieparzystą, dla łatwiejszego rozstrzygania kwestyj przy głosowaniu, przyczem każda z nich odpowiadać będzie za interesy spółki w stosunku $1/9$, jeżeli ich jest dziewięć, i t. p.

2) Spólniczka firmowa nie będzie miała prawa zaciągać długów bez porozumienia się z komandytowemi i jednogłośnej ich zgody.

3) Z kredytu materyałów firmowa ma prawo korzystać wówczas tylko, gdy obstalunek sklepowy tego wymaga i to do wysokości sumy, na wykończenie obstalunku koniecznej. Poza tem, bez porozumienia się z komandytowemi, żadnych towarów brać jej na kredyt nie wolno, chyba że uczyni to na własne ryzyko.

4) Sezonowe przygotowywanie wyrobów z materyałów za pieniądze spółki kupionych odbywać się może za porozumieniem wszystkich spólniczek i za ich zgodą.

5) Dla powiększenia kapitału obrotowego, mogą być przypuszczane spólniczki nowe, z wkładem 100 rs. każda, w charakterze komandytowych i z prawem głosowania.

Warunki dotyczące założenia sklepu, spłaty za urządzenie i kosztów nieuniknionych przy niem pomijamy tutaj, bo jakkolwiek wkłady spólniczek dostarczają właśnie na to funduszu, jednakże szczegóły te musiałyby się zmieniać stosownie do dzielnicy miasta, skali na jaką zostałby założony nowy bazar, ect.

Co do stosunku, jaki ma łączyć spólniczki ze sobą i z innemi pracownicami, znajdujemy w projekcie ustawy następujące paragrafy:

1) Spólniczki rozdzielają zajęcia między sobą.

2) Każda obiera dział, którym się specyalnie zajmuje, i obowiązana jest:

a) utrzymywać porządek w wyrobach swego działu.

b) przyjmować i oceniać towary w komis oddane.

c) pilnować, by rzeczy do jej działu należące znajdowały się w sklepie w dostatecznej ilości.

d) porozumiewać się z dostarczycielkami co do cen i normować je razem z innemi.

3) Do jednego działu należeć mogą dwie lub trzy osoby, wmiarę liczby spólniczek.

4) Spólniczka firmowa obowiązana jest przynajmniej raz na dzień być w sklepie, odbierać kasę, porozumiewać się z personelem i prowadzić zarząd.

5) Spólniczki obierają sobie dnie i godziny na deżury i piśmiennie zobowiązują się deżurować akuratnie, dla zbliżenia się z publicznością i sprawdzania, jak personel wywiązuje się z podjętych obowiązków. Mają one dopilnować dokładnego wykonania obstalunków, oraz rozstrzygać narazie spory personelu z publicznością i zapisywać, czego ona żąda przeważnie, a w sklepie nie znajduje.

6) Przy wypłacie pracownicom dezurują kolejno po dwie spólniczki.

7) Przez wzgląd na mały kapitał obrotowy, spólniczki we własnym interesie nie mogą zrażać dostarczycielek, owszem, zachęcać je powinny do dalszego przynoszenia wyrobów w komis. Liczba jednak stałych dostarczycielek *musi być do 100 ograniczoną*. Inaczej bowiem, wyroby każdej z nich zbyt rzadkoby się sprzedawały, a Bazar, oddając znów robotnicę na pastwę wyzysku, chybiałby właściwego celu.

Ten punkt stanowi podstawę naszych wywodów i dlatego pomijamy już dalsze. Unormowanie bowiem zarówno komisowego (przeważnie 10%), jak i innych warunków płacy, zależy od rodzaju wyrobów. Z powyższego jednak widzimy dokładnie, iż spółka taka gwarantować będzie gruntownie interesy pewnej grupy pracownic, najwyżej stu, zapewniając im możliwie dobre zyski.

Sto wobec tysięcy! A gdzież reszta znajdzie podobną pomoc i zapewnienie bytu?

Reszta, mądra już doświadczeniem cudzem, mogąca zgóry liczyć na powodzenie sklepu, w którym publiczność przywykła szukać towarów trwałych i sumiennie wykończonych, niech zakłada spółki takie i w innych dzielnicach. W tym celu przytoczyliśmy projekt ustawy w głównym zarysie. Nadmieniając też, iż Bazar obejmuje wszelkie wyroby nieulegające modzie, mające zatem zbyt zawsze zapewniony, że sprzedaje on, od bielizny i krawiectwa, wszystko, aż do galanteryi i sztuki, stosowanej do przemysłu, dodajemy, iż zczasem każdy sklep taki może przy dalszym rozwoju dostarczyć zajęcia pięciuset robotnicom.

A więc trzeba tylko dobrej woli i szczerej wdzięczności dla tych, które, dając inicyatywę, potrafiły przełamać pierwsze lody, pozostawiając innym gotowe pole do ułatwionej i zyskownej pracy.

Anatol Krzyżanowski.

CZEM JEST WISTOCIE?

Pytanie to zadałam sobie mimowoli, przeczytawszy w pewnem piśmie codziennem następujące ogłoszenie:

„Potrzebna jest bona inteligentna, znająca gruntownie język polski i francuzki; pożądana również byłaby i muzyka."

Któż miałby co do zarzucenia podobnemu żądaniu? Nic zaiste, przeciwnie, cieszyćby się należało, że przecież matki raz już zrozumiały, że rodaczka inteligentna, znająca dobrze obowiązki swoje, o której przeszłości z największą łatwością na miejscu dowiedzieć się można, lepiej z pewnością odpowie swemu zadaniu niż cudzoziemka, która, prócz swego języka, nic więcej nie posiada. O jej stronie moralnej, o jej uzdolnieniu pedagogicznem niema co mówić, gdyż powiększej części bony cudzoziemki przybywające do nas bardzo nizkie w swoim kraju zajmują stanowiska, a przeto niemogą mieć najmniejszego wyobrażenia o obowiązkach, jakie u nas przyjmują.

A przecież *bona*, tak właściwe miano nosząca we Francyi, jakże pod każdym względem *dobrą* być powinna! Jest-to opiekunka, wychowawczyni dziecięcia, powierzonego jej opiece; od chwili gdy ono ze snu się zbudzi, aż do wieczornego spoczynku bezustannie nad niem czuwa. Ona je ubiera, myje, czesze, odmawia najczęściej z niem pacierz, zabawia, rozwija w rozmowie jego umysł, strzeże od złego, słowem kształci jego charakter. A wszystko to czynić powinna umiejętnie, zajmująco, by swego wychowanka nie znużyć i nie znudzić, lecz dobroczynnie wpłynąć na tę dziś małą istotkę, która w przyszłości jednakże może wielkim stać się człowiekiem.

Pierwsze lata dziecinne (do lat pięciu), stanowią najważniejszą epokę w życiu dziecka. To co ono sobie wprzeciągu tego czasu przyswoi, czem, że tak powiem, przesiąknie cała jego istota, zarówno umysł jak serce, stanie się podwaliną przyszłej jego wielkości, przyszłej godności człowieczeństwa. Także więc bona pełną rozsądku, gruntownej, elementarnej przynajmniej nauki być powinna, by odpowiedzieć zawsze mogła dobrze, umiejętnie, na mądre bardzo często pytania dziecka, by nie zwichnąć zawczasu jego wyobrażeń. Ale i strona moralna bony odpowiadać powinna jej wykształceniu pedagogicznemu, bo dziecię mimowoli kształcić się będzie na jej wzór, a kiedy się do niej przywiąże, już ze świadomością naśladować ją zapragnie. Śmiało więc powiedzieć mogę, że bona jest nauczycielką początkową, wychowawczynią dziecka, jego prawdziwą mistrzynią i za taką od rodziców swego wychowanka uważaną być winna. Ale *czemże ona jest wistocie* w domach rodzin zamożnych, inteligentnych, bo tylko rodzice zamożni bony do swoich dzieci trzymać mogą? Jest ona sługą i to... nawet nie pierwszą. Ona nietylko ma ubierać, bawić, rozwijać młody umysł, wpływać na jego stronę moralną, ale i spełniać przy dziecku najprostsze posługi. Niedosyć gdy dziecię ułoży w łóżeczku, o godzinie dajmy 8 wieczorem, musi siedzieć przy niem, wstawać do niego w nocy po kilka razy, czuwać przy niem gdy chore, słowem winna mu się poświęcić z miłością, zaparciem się samej siebie niby matka. A za to wszystko uważaną jest bezpornania niżej niż nauczycielka, opłacaną również mniej hojnie, nigdy prawie nie przypuszczaną do towarzystwa, bo to jest, jak się zwykle o bonie wyrażają, rodzaj sługi.

Dlaczego spotyka tę użyteczną, pilną pracownicę podobna zapłata? Czy dlatego, że ona pierwsza jak matka wprowadza dziecię w życie, dopomaga mu stać się człowiekiem, zdejmuje z ramion jego matki połowę ciężaru, a poświęca się z większem zaparciem siebie niż matka, bo dla obcej sobie krwią istoty, która pomimo jej kilkoletnich poświęceń zapomni o niej w przyszłości, nigdy sercem jej serca nie odpłaci?

Więc też młode dziewczęta z pewnem elementarnem wykształceniem, któreby korzystnie miejsce bon w zamożnych domach zająć mogły, wolą zostać początkowemi nauczycielkami, bo je odstrasza nietylko miano bony, ale ciężkie, nad ich młode siły obowiązki, ale i upokarzające posługi, któreby pokojówka bezpiecznie spełniać mogła. Wprawdzie nic rozsądnego człowieka nie poniża, bo wszyscy jedni drugim służymy wmiarę swoich sił i zdolności, ale każdy woli stać wyżej niż niżej, temberdziej, jeżeli czuje czego jest wart i co mu się należy, a młodość ma poczucie swej siły i pragnie dążyć wysoko. Otóż więc jeżeli matka pragnie mieć pomocnicę, prawą rękę w wychowaniu pierwotnem swych dziatek, niech naprzód zmieni nazwę bony na miano nauczycielki, opiekunki, wychowawczyni ponaszemu. Język nasz dosyć jest bogaty, aby właściwą nazwę znaleźć tej pierwszej przyjaciółce dziecka. Niedosyć; niechaj matka nie żąda, by ta młoda mistrzyni jej dziecięcia w białą zamieniła się niewolnicę, nie miała chwili wytchnienia od godziny 8 rano do 8 wieczorem, bo przecież istota Boża, rozumna, ma wyższe pragnienia, chce nietylko chleba powszedniego, ale i pewnej strawy dla ducha. Niechże ma dziennie kilka godzin swobodnych dla siebie na czytanie, pisanie listów do rodziny, a wreszcie i odpoczynek chwilowy dla nabrania sił do pracy obowiązkowej. Prócz tego czyby nie można przypuszczać do towarzystwa państwa domu dobrze wychowanej, inteligentnej (nazwijmy ją podawnemu) bony, pamiętać trochę o jej przyjemnościach? Podobne postępowanie rodziców z tą młodą opiekunką ich dziatek wpłynie dobrze i na jej wychowanki. Widząc zawsze pogodny uśmiech na jej ustach, zadowolenie na twarzy, rozwijać się będą swobodnie, niby kwiatki, pod tym słonecznym promieniem, który dobroczynnie ogarnie młodziutkie istotki. Jeżeli w taki sposób ułoży się stosunek chlebodawców do młodej, rozumnej, inteligentnej pierwotnej dziecka mistrzyni, nie zadziwi nas niekonsekwentne na dzisiaj żądanie rodziców: *bony inteligentnej*, którą jednakże narówni ze sługą traktować będą, ***bo czemże jest ona wistocie obecnie w domu swoich chlebodawców?***

Józefa Żdżarska.



(Dokończenie.)

Kiedy po wystawieniu jednej z jego oper, zausznicy cesarza nie omieszkali przedstawiać, że w dziele tem zbyt ciężko, w ich poziomem przekonaniu, przeładowaną jest orkiestra, tedy monarcha, wychodząc z teatru, odzywa się do stojącego na korytarzu mistrza:

— Strasznie dużo nut, kochany Mozarcie!

— Ani jednej nadto, najjaśniejszy panie! — odparł, kłaniając się z godnością, muzyk.

Melodye Mozarta, pełne czaru i poezyi, stały się znanemi światu całemu, ale nie za życia mistrza. Niejeden utwór, ukochany obecnie przez publiczność wszystkich krajów, przeszedł niepostrzeżenie, po wyjściu zpod pióra twórcy.

Mozart sam nie przeczuwał może, iż na przykład jego sławne "Larghetto" wciągu stu lat doczeka się niezliczonych wydań i transkrypcyj i do dziś dnia wzruszać będzie serca ludzkie.

A ileż to oper, znacznie młodszych wiekiem, zestarzało się i zniknęło z desek scenicznych, podczas gdy taki „Don Juan," „Figaro," lub „Flet zaczarowany" krzepko się trzymają, ozdobę repertuarów najpierwszych teatrów stanowiące.

Nie dziw tedy, że w roku tym jubileuszowym wszędzie przygotowywują uroczyste obchody na pamiątkę wielkiego mistrza. Szereg ów rozpoczęło słusznie miasto Salcburg, bo jako miejsce rodzinne Mozarta, chlubiąc się takim synem, nie mogło dać wydrzeć sobie pierwszeństwa w uczczeniu jego pamięci.

Słusznie też porę letnią obrano na ten cel wzniosły, gdyż do Salcburga chętnie pośpieszają turyści,

aby obejrzeć miasto w ślicznej położone okolicy i jednocześnie zwiedzić wszystkie miejsca i pamiątki, do Mozarta się odnoszące.

Uroczystości rozpoczęto od wykonania „Requiem," owego dzieła, które Mozart już na łożu boleści i śmierci tworzył. Potem zaś nastąpił szereg koncertów i przedstawień w teatrze.

Udział publiczności był nadzwyczaj liczny i śmiało rzec można, iż świat cały wziął udział w oddaniu hołdu pamięci Mozarta, bo na tych uroczystościach wszystkie kraje i narody miały swoich przedstawicieli.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, nie bardzo daleko od Salcburga naznaczono także szereg uroczystości, poświęconych pamięci znacznie młodszego mistrza muzyki dramatycznej. Niewielkie miasto bawarskie Bayreuth stało się sławnem, dzięki Wagnerowi, który tam wystawił, ze składek całych Niemiec, teatr olbrzymi, pełen inowacyj, a jego wyłącznie dziełom poświęcony.

A więc i tam gromadzą się tysiące, dla wysłuchania i *przypatrzenia się* dziełom sławnego twórcy muzyki przyszłości. Tam również spotkać można wysłańców świata całego i zdawaćby się mogło, że w Bayreuth, tak jak w Salcburgu, publiczność składa hołd geniuszowi.

Pozory zdają się za tem podobieństwem przemawiać, a jednakże kto zdoła bez uprzedzenia wpatrzeć się prawdziwie głęboko w cały sposób odbywania się przedstawień wagnerowskich, ten z pewnością dostrzeże, że o ile w Salcburgu cześć oddana pamięci Mozarta pochodziła z głębi serc, wdzięcznych ukochanemu mistrzowi za cudne jego natchnienia, o tyle w tłumach śpieszących do Bayreuth widnieje głównie ciekawość, a następnie podziw, że pojedyńczy człowiek zdołał przeprowadzić swoje plany wymarzone i za życia jeszcze doczekać takiej chwały.

Dzieła Wagnera do serc nigdy nie przemawiały i przemawiać nie będą, lecz do umysłu. Są bowiem zanadto wykreślone, że tak powiem, nie zaś odczute.

Wytłómaczę to nieco szczegółowiej. Artysta każdym—mówię tu tylko o twórcach—działa zwykle pod wpływem chwili natchnienia, zjawiającego się nagle, bez uprzedniego przygotowania, a więc od samego nawet twórcy niezależnie.

W takich to chwilach stworzone piórem, pędzlem czy dłutem dzieło przemawia do widza, lub słuchacza bezpośrednio i wrażenie pozostawia głębokie, niezatarte, gdyż... wzrusza.

Jeżeli jednak nawet genialny artysta zgóry uplanuje sobie, wykreśli pewien kierunek, a raczej jeżeli *wyrozumuje* sobie, jak należy to, lub owo uczynić, to z pewnością, mimo znakomitości utworzonego dzieła, będzie zadziwiał, ale nie wzbudzi owych wzniosłych uczuć, jakie powstają pod wpływem natchnień szczerych, serdecznych.

Wagner jest dla mnie szczytem owego wyrozumowania, bo gienialność wycisnęła na jego dziełach aż nadto widoczne piętno, aby je lekceważyć tak, jak to czynili za życia mistrza jego zawzięci wrogowie.

Ów szczyt leży więc w tem, że mimo błędów, których niepodobna, aby nawet jego wielbiciele nie widzieli, zawsze daje umysłowi robotę. Przy dziełach Wagnera trzeba *myśleć*, ale to myśleć nie na żarty, trzeba je pilnie studyować, aby je zrozumieć, a w tem właśnie koniecznem zgłębianiu leży potwierdzenie tego, com powiedział o owem wyrozumowaniu.

Uwagi te zresztą same się napraszają, gdy się słucha jakiej opery, lub t. z. dramatu muzycznego mistrza czyli proroka z Bayreuth. Rzuca się przedewszystkiem w oczy wyrafinowany nieraz dobór słów i wyrażeń tekstu.

Bez zaprzeczenia, libretta Wagnera nazwać się godzi poematami; mają one wysoką wartość literacką, lecz razi w nich niezmierna *sztuczność*, aż do egzotyzmu dochodząca czasami.

Muzyka takiej sztuczności nie znosi. Melodya, będąca jej podkładem i osią, musi płynąć naturalnie; więc jeżeli ma służyć jako ilustracya wierna, wymaga też od niego równej prostoty i naturalności.

Przeciętnie wykształcony czytelnik wie doskonale, że największe arcydzieła poezyi odznaczają się doborem słów najzwyczajniejszych. Proszę mi na przykład powiedzieć, czy w „Panu Tadeuszu" jest jakakolwiek niezwykłość w wyrażeniach? Prawda, że nie! Najpilniej szukając, nie znajdziemy tam nic nad wyrazy, używane w potocznem życiu; a jednak ileż tam poezyi!...

Wagner w poematach swoich wziął rozbrat z prostotą. Jest zwykle nadęty, czasem patetyczny, a zawsze nastrojony o kilka tonów zawysoko. Każde działanie, tak jak i uczucie, przybiera u niego rozmiary niezwykłe, nieludzkie.

Osoby wchodzące do jego oper chodzą zawsze na szczudłach, zamieniają się na jakieś istoty nic z naszą ziemią niemające wspólnego. Patrzymy na tych rzekomych bohaterów, zapytując siebie, gdzie mogą tacy ludzie istnieć.

Wszystko bowiem, co robią i mówią, nosi na sobie cechę podniecenia; tak samo więc i na widza, to jest podniecająco, działają.

Tem się oto tłómaczy rozdrażnienie, jakiemu wiele osób, po wysłuchaniu opery Wagnera, ulega.

Do takiego tedy tekstu dorobiona muzyka czyż może posiadać prostotę i szczerość?

Zaiste nie! zwłaszcza gdy uprzytomnimy sobie teoryą *wyrozumowaną* muzyki przyszłości, zasadzającą się na motywach przewodnich. Motyw taki uparcie się włóczy po orkiestrze, tak jak osoba przezeń charakteryzowana chodzi po scenie często niepotrzebnie i nie wiadomo poco, jak to ma miejsce z Wotanem w Sygfrydzie.

Wobec uroczystości w Bayreuth, coraz uporczywiej nasuwa się pytanie, jak długo trwać będzie kult wagnerowski, bo że on trwa dotąd, to pewna. Bezstronni muzycy utrzymują, że następuje już reakcya, żądająca powrotu do naturalniejszego toku melodyjnego.

Mnie się jednak zdaje, że długie jeszcze lata zjeżdżać się będą ludzie do Bayreuth, wcelu podziwiania tych niezwykłych utworów; ale mistrz ich pozostanie w dziejach muzyki osamotnionym. Wszyscy jego naśladowcy przepadają. Nadzwyczajności bowiem takie woli mieć publiczność zawsze z pierwszej ręki i co do tego ma zupełną słuszność.

Ale idźmy dalej w opisie wypadków ze świata tonów.

Oto w pierwszych dniach Sierpnia odbyła się w Wiesbadenie wielka uroczystość śpiewu, na którą zjechała się wielka ilość stowarzyszeń chórów męzkich. Zjazd był międzynarodowy i szkoda, że to tak daleko, bo i nasza Lutnia mogłaby wziąć udział, skończyło się zaś tylko na wysłaniu dyrektora, jako deputowanego.

Na uroczystości tej odbyły się popisy konkursowe stowarzyszeń, przyczem pierwszą nagrodę otrzymał sławny „Liederkranz" z Kolonii, drugą zaś stowarzyszenie z Belgii. Podobno jednakże, wedle zdania znawców, ten ostatni chór śpiewał najlepiej ze wszystkich pod względem wykończenia szczegółów niezmiernie trudnej kompozycyi. Ale ponieważ dla wykazania muzykalności grono sędziów dawało stowarzyszeniom utwór zupełnie świeży, a więc nieznany, do prędkiego, bo godzinnego tylko wystudyowania, przeto okazało się, iż Belgijczycy mniej byli biegli w szybkiem uczeniu się czegoś nowego od swoich niemieckich kolegów.

Jak widzicie, sezon letni dał mi dosyć wątku do pogawędki dzisiejszej, a wierzcie mi, że ograniczyłem się na zaznaczeniu małej zaledwie cząsteczki tego, co się w tej porze w Niemczech dzieje. Postaram się w przyszłości opisać wam inne jeszcze uroczystości muzyczne, na zakończenie zaś wrócę na chwilę do naszego miasta, aby dla ścisłości sprawozdawczej donieść, że kapelmistrz opery warszawskiej, pan Rzebiczek, porzucił nas bezpowrotnie, przeniósłszy się do Pesztu, gdzie zajął bardzo świetne stanowisko.

Działalność tego artysty dla teatru naszego nie wydała owoców, boć najlepsze nawet koncerty symfoniczne, które urządzał pan Rzebiczek, nie zastąpią braków coraz widoczniejszych opery naszej.

Opuścił również stanowisko profesora klasy wyższej fortepianu pan Paweł Schloetzer, zamieszkały w Warszawie od lat dwudziestu i wielce się jako pedagog ceniony. Świetne warunki, ofiarowane mu przez dyrektora konserwatoryum w Moskwie, skłoniły pana S. do przyjęcia godności profesora tej instytucyi.

Zaznaczam ten wypadek ze względu, że pan S. wykształcił przez czas swojej u nas działalności całą falangę dzielnych fortepianistek, wśród których pierwsze miejsce zajmuje znakomita już dziś i poza granicami kraju ceniona artystka, panna Marya Wąsowska.

Zygmunt Noskowski.

TALERZ WESELNY.

NOWELA.

PRZEZ

OUIDĘ.

Mowa tu o jednym z tych talerzy głębokich, służących do konfitur, które w dawnych czasach nazywano talerzami weselnemi, bo odgrywały pewną rolę w czasie uroczystości zaślubin. Malowali je najsławniejsi mistrze swej epoki, jak Giorgio i Orazio, Fontana i inni mniej sławni artyści z Urbino i Gubii, z Pezzaro i Pawii, z Castello i Sawony, z Faenzy, Ferrary i różnych innych miast artystycznych Italii, w których malarze ceramiczni żyli spokojnie wśród najburzliwszych czasów.

Talerz taki w ramach drewnianych, zniszczonych przez robaki, wisiał na gwoździu zardzewiałym wśród wiązek ziół zasuszonych i naczyń kuchennych w mieszkaniu Giudetty Bernacco.

Zawieszony lat temu sto na tem samem miejscu, sprowadzał stale szczęście mieszkańcom chaty, ale lekkie nawet dotknięcie się owego godła pomyślności groziło nieszczęściem.

Było to niejako dogmatem religijnym dla rodziny Giudetty, w który wierzyła tak silnie, jak w swoich księży i świętych.

Dlaczego w tej martwej rzeczy pokładano tyle wiary gorącej? Bo tak wierzyli przodkowie. Odpo-

wiedź ta zamykała usta największym nawet niedowiarkom.

Niekiedy Giudetta, patrząc na talerz, żegnała się pobożnie, jakby przed jakąś relikwią:

— Przynosi szczęście — powtarzała za każdym razem.

Guidetta miała przeszło lat 80. Owdowiała ona zamłodu; jeden z jej synów zginął na wojnie, drugiego piorun zabił.

Przechodziła liczne niedole, choroby, zmartwienia, doświadczała ubóstwa, nędzy pod rozmaitą postacią, zarówno w lecie jak i w zimie; a jednakże wśród tych cierpień rozlicznych nie przestawała powtarzać: „talerz szczęście przynosi."

— Dosyć już żyłam — mówiła nieraz, — bo wychowałam Faella.

W tych kilku wyrazach mieściło się dla zacnej kobiety całe błogosławieństwo niebios.

Faello (Rafaello) wnuk Giudetty, rósł zdrowo wśród grona siostrzyczek rumianych, silnych, wdrożonych do pracy w chacie i poza jej obrębem.

Wszystkie dziewczęta Toskanii od lat najmłodszych stają się użytecznemi rodzinom swoim.

Faello wyrósł na dziarskiego chłopaka; był to już młodzian pełen męzkiej siły, piękny, rosły, barczysty, poczciwy, odważny a posłuszny jak baranek; stanowił prawą rękę babki.

Chata Giudetty stała na wzgórzu; wystawiona na silne wiatry, panowała nad wsią Imprunetą.

Całą chudobę poczciwej rodziny stanowił muł z wózkiem, w którym przewożono do miasta naczynia ozdobne i garnki przynoszące chlubę Imprunecie.

Kiedy Faello był jeszcze dzieciakiem, Giudetta musiała trzymać najemnika do prowadzenia wózka, ale od lat już czterech wnuk doskonale wywiązywał się ze swego zadania.

Przewożenie naczyń do miasta stanowiło cały zarobek ubogiej rodziny.

Ładne, silne siostrzyczki Faella przykładały się o ile mogły do ogólnej pomyślności, plotły słomkę, czerpały wodę ze studni, uprawiały ogródek, zbierały suche gałęzie w lesie sosnowym, rwały trawę dla muła. Jednem słowem cała rodzina zarabiała uczciwie na życie, w niedzielę też i święta jadła mięso, rzecz niezwykła u wieśniaków.

— Święci Pańscy tacy dla nas dobrzy — mawiała Giudetta, zadowolona ze swego losu, — bo przecież talerz szczęście nam sprowadza.

Faello i jego siostrzyczki z pewnym rodzajem bojaźni i szacunku patrzyli na talizman rodzinny.

Odmalowany był na nim żywemi kolorami jeden z epizodów Starego Testamentu: Zaślubiny Izaaka z Rebeką.

Osoby biblijne nosiły ubiór z XVI wieku. Na tem pięknem malowidle jaśniały te odcienia tęczowe z odblaskiem przezroczystym, których tajemnicę zabrali do grobu artyści owej epoki.

Cała też legenda, zawarta w wyrazach malowanych czarnemi literami, obiegała talerz dokoła.

Zdołu zaledwie można było dojrzeć talerz wiszący w cieniu nad stołem kuchennym, pośród pęków majeranku i tymianku, ale kiedyniekiedy dzieci przy świetle wzniesionej dogóry lampy spostrzegały wyraźnie łamiące się prześlicznie żywe blaski kolorów i czarne litery, których przeczytać nie umiały.

Drżały ze wzruszenia, gdy im babka opowiadała, że od lat niepamiętnych, od dziada pradziada w rodzinie, której godło i koronę spostrzegano na talerzu, ów talizman pomyślności nigdy nie opuszczał swego uprzywilejowanego miejsca.

„Czy opowiadanie to było jedynie słowami na wiatr rzuconemi, czy też prawdą rzetelną?" — myślał Faello.

Ale wistocie cóż go to obchodzić mogło; wierzył na słowo, i to mu wystarczało.

Był z natury myślącym i poważnym, kochał babkę serdecznie, siostry i swego psa Pastora; kto wie nawet, czy ten ostatni nie zajmował pierwszego miejsca w jego sercu.

Pastor był z rodzaju pięknych psów pasterskich, o wełnie białej, miękkiej, tak pospolitej w okolicy, mógłby stać się ozdobą pałacu i godnie spocząć na trenie płaszcza królowej, jednem słowem, należał do tych psów, które są wybranemi swej rasy, odważne, miłe, szlachetne stworzenia, prawdziwi rycerze psiego rodu.

Psy te byłyby w modzie, gdyby ta kapryśna bogini raczyła wstąpić na wyniosłe pagórki, zwieńczone lasami sosnowemi, i gaje oliwne, dosięgające boków gór wyniosłych.

Faello i Pastor przepędzili już ze sobą wiele godzin rozkosznych.

W dnie powszednie, jeden obok drugiego przebywali przestrzeń piętnastomilową, oddzielającą wieś rodzinną od miasta, okryci pyłem, lub grzęząc w błocie.

Kiedy Faello oddalał się za jakimś interesem, Pastor godzinami całemi, nieporuszony jak posąg, stał przy mule, pilnując wózka naładowanego garnkami.

Wieczorem wracali razem, siedząc w wózku. W nocy Pastor spał w stajni, czuwając nad mułem i snem swojego pana.

Jeżeli we dnie nie było naczyń do przewożenia, wjeżdżali do lasu, a wózek powracał ztamtąd naładowany paprocią i innemi krzewami leśnemi, któremi garncarze ogrzewają swoje piece.

W innych porach roku wózek przywoził słomę i siano. Ale wciągu całego roku muł, Faello i Pastor zwolna spuszczali się z kamienistych boków pagórka, pracując wytrwale, bo inaczej z czegóżby babka zgotowała zupę w kociołku, szczególniej wówczas, gdy nałożono podatek na mielenie zboża, i kiedy państwo wyciągnęło potężną prawicę, aby wydrzeć ostatni kęs chleba od ust biedaków najbiedniejszych.

Jednem słowem głód nigdy nie dał się uczuć w chacie Giudetty, „dzięki talizmanowi" mówiła babka, „dzięki mułowi i mnie" myślał Faello.

Ale myśl tę wyrzucał sobie jak grzech, bo znał szacunek dla starszych i dobrze rozumiał swój obowiązek.

Lecz był to chłopiec nietylko pełen dobrych przymiotów, ale piękny w całem słowa znaczeniu.

— O! śliczny mój chłopak — myślała Giudetta, z dumą patrząc na wnuka, ubranego w niedzielę i święta w białą jak śnieg koszulę, kiedy słońce zapalało iskry w jego dużych, ciemnych oczach, pozłacając jedwabiste kędziory jego kruczych włosów.

Młode dziewczęta, zajęte niby robieniem swych siatek, myślały tosamo, patrząc ukradkiem, kiedy Faello przechodził koło nich z głową spuszczoną.

Nigdy nie spojrzał na żadną, bo żadna dotąd nie wzruszyła jego serca. Cały oddany pracy, miał oczy tylko dla swoich siostrzyczek. Pastor był jedynym jego towarzyszem i przyjacielem.

— Kiedy idę na mszę, Pastor ani się rusza, patrzy mi na nogi, dosyć mu spojrzeć gdy kładę buty, już wie co to znaczy.

Słowa te wymawiał z pewną dumą, myśląc o towarzyszu swych zabaw i pracy.

Ale Faello nie należał do strojnisiów, wkładał buty tylko w niedzielę i w święta, aby okazać poszanowanie dla świątyni Pańskiej.

Może wielcy tego świata uznaliby strasznie nudnem to jednostronne spuszczanie się z pagórka z myślą powrotu, obok muła i wózka naładowanego naczyniami, nieprzerywane przez rok cały w dzień pogodny, czy w deszcz i burzę.

Ale Faello pokochał ten rodzaj życia, bo umiłował pracę.

Była w nim, jak to mówią, dusza.

Ten piękny chłopiec, nieumiejący ni czytać ni pisać, uwielbiał cudowny wschód słońca, któremu można się było dobrze przypatrzeć z wysokości pagórka ze stojącą na nim chatą.

Lubił wsłuchiwać się w poważne a głębokie dźwięki dzwonów, kiedy przechodził u podnóży starego klasztoru. Czuł pewien wdzięk i urok w kwiatku, w trzcinie rosnącej nad strumieniem, w ciszy lasów sosnowych, których roślinami napełniał swój wózek.

Były to rzeczy tak nieznaczące, a jednakże to coś błogiego a tajemniczego zarazem napełniało mu duszę niewytłómaczonym smutkiem, albo czyniło go także szczęśliwym.

Usposobienie podobne chroniło go od błędów i szaleństw młodości, w wieku tak skłonnym do upadku moralnego.

Babka Giudetta umarła nagle, bo tak powszechnie kończą ludzie starzy, których życie gaśnie nakształt płomienia w lampie, gdy się w niej ostatnia kropla oliwy dopaliła.

W wigilią Bożego Narodzenia siedziała jeszcze na ławce przy piecu; nagle nawznak upadła i już się więcej nie podniosła.

Faello porwał ją w ramiona, siostrzyczki jego przerażone otoczyły babkę kołem, a ona, podnosząc drżące ręce, wskazała na talizman rodzinny, mówiąc zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Nie zdejmujcie go nigdy... nigdy, czy mi to przyrzekacie?

— Przyrzekam ci, babusiu—zawołał Faello przerażony wyrazem twarzy Giudetty, bo dotąd jeszcze nie widział umierającego.

Giudetta skinęła głową, a drżące jej ręce szukały różańca.

Po chwili otworzyła oczy z trudnością, chciała coś powiedzieć jeszcze.

— Chyba — dodała, kończąc myśl zaczętą, — chyba... jeżeli taka będzie wyraźna wola Boża.

W chwili gdy Faello składał gorący pocałunek na jej czole, skonała.

Tak skończyło się to życie proste, czyste, uczciwe, pracowite, złożone z cierpień i miłości, które śmierć rozwiała, podobnie jak wiatr unosi zwiędłe liście w jesieni.

Faello miał wówczas lat ośmnaście, urodził się zaś w wigilią Bożego Narodzenia.

Całą noc przepłakał na swem twardem posłaniu. Następnej nocy poniesiono zwłoki na pagórek, gdzie je tam pochował.

Dzieci niosły zapalone pochodnie, których drżące płomienie, szamotane wiatrem zimowym, słały na śniegu smugi czerwone.

Nazajutrz Faello, wstawszy rano, począł zaprzęgać muła.

Biedni nie mogą długo oddawać się boleści, mają na to dosyć czasu; jest-to zbytek bogatych.

Nie czując już nad sobą opieki pobożnej i silnej duchem babki, uczuł się opuszczonym jak sierota.

Dzieci odziedziczyły całą chudobę babki; wprawdzie były one tylko lokatorami chaty, ale sprzęty, wózek i muł należały do nich.

Kandida i Wina, starsze siostry Faella, były już w tym wieku, że z łatwością, z dawnym ładem, mogły prowadzić skromne gospodarstwo, ale chłopiec spostrzegł ze smutkiem, że wszystko się zmieniło.

Tyle lat, od urodzenia prawie, mając przed oczyma tę twarz uczciwą, spaloną słońcem, pomarszczoną niby jabłko zimowe, nie ujrzawszy jej dzisiaj przy wieczerzy, uciekł do stajni i objąwszy szyję Pastora, rozumiejącego lepiej swego pana, niż jego siostrzyczki, gorzko zapłakał.

Siostry Faella były to dobre dziewczęta; i one szczerze opłakiwały śmierć babki, ale zarazem ucieszyły się uzyskaną swobodą, tytułem gospodyń. Już ich odtąd nikt łajać nie będzie, gdy się spóźnią po wodę do studni, lub gdy niedosyć starannie pleść będą słomę.

Kandida włożyła na szyję sznurek korali, który jej przeszłego roku darował kramarz wędrowny, a czego zabraniała jej babka.

Kilka tygodni Faello, w smutku pogrążony, nie spostrzegł nic, ale gdy raz przypadkiem ujrzał ów sznurek na szyi siostry, zdjął go z niej spokojnie i w milczeniu wrzucił do studni.

— Czy dlatego nie mamy słuchać przestróg babki — mówił ze spokojem, — że już nie żyje? Patrz na Pastora — dodał łagodniej, — nie zbliża się do ognia, bo ona mu tego zabraniała. Jeżeli jest zmoczony, nim wejdzie do izby, osusza się w słomie, bo babka tak go czynić nauczyła. Czy my mamy o niej zapomnieć, jeżeli on pamięta?

A kiedy Kandida płakać zaczęła, Pastor wyszedł ze swego kącika i, dotykając nosem twarzy dziewczyny, począł jej łzy obcierać.

Pastor kochał ich wszystkich z tą czułością niedającą się niczem odstręczyć, z tą wyrozumiałością niewyczerpaną, które w wysokim stopniu psy i niektóre posiadają kobiety.

Dzieci obchodziły się z nim łagodnie, z wielką słodyczą, a jeżeli czasem był głodny, i one również głód cierpiały. Uważano go za należącego do rodziny.

Widząc swoich współbraci bitych, niemiłosiernie kopanych nogami, zgłodniałych, przywiązanych do łańcucha, wystawionych na zamiecie śnieżne, na mroźne noce zimowe, Pastor w swojej psiej duszy czuł się niby w raju.

Jego młody pan kochał go uczuciem głębokiem od lat dziesięciu, to jest od chwili kiedy Pastora przyniesiono w dłoni, okrąglutkiego i bielutkiego jak kulka śnieżna. Faello w chwilach wolnych od pracy wychodził z nim na przechadzkę, swawolił podziecinnemu, przekładając jego towarzystwo nad towarzystwo własnych sióstr.

Z nim to przebiegał wzgórza porosłe dębami i kasztanami, na których wyniosłe sosny rysowały na błękitnem tle nieba swoje ogromne pióropusze zielone.

Teraz Faello nie miał serca do zabaw; ciężar życia uginał młode jego ramiona. Dopóki babka żyła, nie zaznał zmartwienia. Teraz dzień i noc powtarzał sobie:

— A jeżeli nie zarobię tyle, by tak zapobiedz wszelkim potrzebom dzieci, jak ona to mądrze czynić umiała?

Było myśleć o czem: pięcioro dziewcząt uwijało się w chacie; każdy dzień nowe rodził potrzeby, a trudno zrobić majątek, wożąc garnki do miasta i drzewo dla obcych. Pieniądze zabierał garncarz i kupiec drzewa.

Niedosyć na tem, Giudetta posiadała tajemnicę hodowania kur, umiała tuczyć wieprza, robić doskonałą zupę z grzybów i roślin, które na właściwych miejscach zbierała, umiała oszczędzać. Jeżeli dziewczęta posiadały niegdyś tę sztukę, zapewne o niej zapomniały, lub też nie umiały jej zastosować w gospodarstwie.

Kury pochorowały się, przestały nieść jaja, wieprz schudł, kociołek kipiał, zupa zbyt drogo kosztowała, a raz znalazł się w niej grzyb, od którego się wszyscy pochorowali.

Wówczas to pajęczyna poczęła rozpościerać się po ścianach, kurz gromadził się po kątach, komin począł dymić, a kapustę w ogródku liszki zjadły.

Dziewczęta miały dobre chęci, ale były leniwe, a Kandida wciąż się dąsała zpowodu owego sznurka ze szklanych koralików, wrzuconego do studni.

Serce Faella ścisnęło się bólem wielkim.

— Powinieneś się ożenić — mówili do niego sąsiedzi;—twoje siostry miałyby kogoś, któryby kierował niemi.

Faello zaczerwienił się mocno, bo nigdy o czemś podobnem nie pomyślał.

Odpowiedział krótko:

— Kiedy siostry moje za mąż powychodzą... wówczas... może.

A tymczasem Toinetka, najmłodsza z sióstr, miała dopiero lat siedm.

Sąsiedzi poczęli się śmiać i przezwali Faella zakonnikiem.

Ale Faello nie miał ochoty do śmiechu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z chwili bieżącej.

* **Do Częstochowy.** Pociągi spacerowe po obniżonych cenach dla pielgrzymów do Częstochowy na odpust Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, przypadający w dniu 8 bieżącego miesiąca, we wtorek, odchodzić zaczną w poniedziałek od godziny 4 zrana. O bilety zatem należy się w wigilią tego dnia postarać. Powrót nastąpi we środę, najwcześniej o godzinie 4 popołudniu. Pogoda, która pod koniec lata zdaje się chcieć wynagrodzić nam zimny i słotny jego początek, sprzyjać zdaje się będzie pobożnej wycieczce.

Wprawdzie dawna, surowa a szczera pobożność ramionami rusza na pielgrzymki odbywane kolejowym wagonem, ale trudno! Czasy się zmieniły Częstochowa opustoszałaby i zdziczała oddawna, gdyby jej przyszło czekać na owych pątników wwielkim stylu, co to pielgrzymki do świętego miejsca nie rozumieli inaczej jak pieszo, boso i dwa kroki naprzód, a jeden wtył. A byli to niekiedy pątnicy, za którymi szły poszóstne karety i całe czambuły służby.

* **Trewirska relikwia.** W Trewirze przeszło od tygodnia wystawiona jest na widok publiczny jedna z najcenniejszych dla Kościoła i świata katolickiego relikwij, bo suknia Chrystusa Pana, o którą żołnierze rzymscy w kości się rozgrywali.

Relikwia ta spoczywa wpewnego rodzaju poszwie, czy też futerale, z grubej materyi, wypełzłej barwy purpurowej i ma na sobie rysunki ptaszków z palmowemi liśćmi w dziobach. Pod tą powłoką znajduje się dopiero właściwa suknia, ciemno brązowa, z naprawkami w miejscach uszkodzonych, własną ręką biskupa Korum w roku zeszłym dokonanemi. Zarówno kompetentne osoby ze stanu duchownego, jak świeccy archeologowie uznali autentyczność tej szaty, bezsprzecznie z I wieku ery chrześciańskiej pochodzącej. Powłoka pochodzi z wieku VII, albo VIII-go.

Podobna relikwia znajduje się również we Francyi, w kościele w Argenteuil, ofiarowana tam przez Karola W-go, który ją otrzymał w darze od cesarzowej Ireny. Ta suknia jest barwy szaro-żółtawej, bez rękawów, mocno uszkodzona, a są na niej plamy koloru rdzawego, do plam krwi podobne.

Jakiś czas zachodziła tedy wątpliwość, która z tych dwóch szat jest prawdziwą, ale kongregacya rzymska autentyczność obudwu uznała. Trewirska jest tuniką spodnią, krótką, z rękawami; druga tuniką dłuższa, bez rękawów, jaką w owym czasie na wierzchu krótszej noszono.

Ze wszystkich stron świata chrześciańskiego dążą pobożni do Trewiru, w celu oglądania świętej relikwii. W pierwszym zaraz tygodniu nadciągnęło 90,000 pielgrzymów. W mieście zabrakło pomieszczenia zarówno w hotelach, jak w domach prywatnych.

Wiele osób zdaleka przybyłych i potrzebujących konieczności dachu nad głową na czas kilkodniowego pobytu, mieści się poza miastem, niekiedy nawet w dalszych okolicach.

* **Instytucya kuchen tanich** poniosła cios dotkliwy w działalności swej, na którą w ostatnich czasach główny nacisk położyła, a mianowicie w dostarczaniu taniego a zdrowego pożywienia dla klas robotniczych. Założona przed rokiem kuchnia tania przy ulicy Czerniakowskiej, obliczona prawie wyłącznie na konsumcyą bardzo licznej w tamtych stronach ludności robotniczej, w ostatniem półroczu poniosła straty 800 rs. Wobec tego zaniechane zapewne zostaną zamiary otworzenia nowych kuchen dla robotników w stronie ulicy Chłodnej, w okolicy dworca kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i w innych podobnych punktach. Instytucya nie posiada funduszów na pokrywanie tak znacznych niedoborów, które prawdopodobnie wzrosłyby wmiarę mnożenia się ilości kuchen.

Robotnik nasz widocznie nie jest jeszcze wstanie ocenić dobrodziejstwa tego rodzaju zakładów, a kuchnie tanie nie mogą wytrzymać konkurencyi z garkuchniami, które trują swoich stołowników, ale pozwalają im się zakrapiać do woli wódką i piwem i dozwalają im wszelakiej swobody, zwalniając od wszelkich więzów przyzwoitości, jakiemi czują się skrępowani w kuchni taniej. Smutno to stwierdzić, ale tak jest, i tylko oświata może położenie to poprawić.

* **Szkoła rzemiosł** przy ulicy Składowej z dniem 5 września rozpoczyna wykłady. Zapisy rozpoczęły się już z dniem 21 z. m. Opłata wynosi roczni od 25 do 50 rs., stosownie do rodzaju obranego przez ucznia zawodu. Najtańsze są krawiectwo i szewctwo, po 25 rs.; rymarstwo kosztuje już 30 rs., a ślusarstwo (z tokarstwem), kowalstwo i giserstwo po 50 rs.

G. Cz.

☛ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

CENY NIZKIE. — W NAJLEPSZYM GATUNKU.

Skład Mat. Aptecznych
Trzciński, Urbanowicz i Różycki,
Krakow.-Przed. 17
wprost kościoła po-Karmelickiego,
w WARSZAWIE.

PRACOWNIA 109 2—6
SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH
Czesławy Chełmickiej,
Marszałkowska Nr 135, miesz. 11.
Przyjmuje wszelkie obstalunki na sezon bieżący, które wykonywa podług ostatnich żurnali po cenach bardzo umiarkowanych.

S. PRZEZDZIECKI.
Magazyn ubiorów DLA DZIECI, mundury i szynele DLA UCZNIÓW. 1102—12
Kotzebue Nr 2, róg Wierzbowej.

MAGAZYN
Strojów Damskich
GUSTAWY WACHS
ulica Królewska № 51,
w domu W. Neufelda. 89—8—8
W WARSZAWIE.

MAGAZYN MÓD
I STROJÓW DAMSKICH
„KONSTANCYA"
58. Wielka 58.
Przyjmuje roboty po nader nizkiej cenie i wykończa takowe dokładnie i prędko Przyjmuje pióra do prania i fryzowania.
114 1—8

Pince-nez Okulary
najcelniejszych fabryk w najnowszych fasonach i najściślej zastosowane, **Lornetki, Termometry, Narzędzia** chirurgiczne, **Woreczki** hygieniczne, **Gąbki** ochronne, **Bandaże** i t. p. **najtaniej** nabyć można w zakładzie Optyczno Elektrotechnicznym **Juljana Drehera**, ulica **Szpitalna Nr 6.** Tamże: **Dzwonki** elektryczne, **Piorunochrony**, **Telefony** najlepsze zakłada na żądanie w mieście lub na prowincyi po cenach umiarkowanych. Przyjmuje reperacyę.

1161—10

Dnia 1 Lipca r. b. otwartą zostanie szkoła haftu białego, kolorowego, złotem i srebrem oraz kroju. Ulica Pańska Nr 18 miesz. 21 (dom Fiorentinich) **Pracownia MARIE.**
Zapis uczennic od 10 rano. 6810—12

Telefon 456. — Telefon 456.

Najodpowiedniejszy do konserw i marynat, a przytem najlepszy i najtańszy jest

OCET ZBOŻOWY

z Parowej Fabryki,

przy ulicy Polnej, dawniej Przedokopowej Nr 36 (róg Nowowiejskiej).

Telefonu Nr 456.

Fabryka rozlewa u siebie ocet w butelki i szczególnie takowy poleca.

Nabyć można we wszystkich pierwszorzędnych sklepach korzennych i spożywczych.
115 1—3

LUDWIK ORTHWEIN
MAGAZYN TAPICERSKO-DEKORACYJNY
(Plac Teatralny)
12 SENATORSKA 12
(Pałac Blanka.)
108 2—8

PRACOWNIA
UBIORÓW DAMSKICH I DZIECINNYCH
oraz Bielizny
ALEKSANDRY WOJCIECHOWSKIEJ,
Mokotowska Nr 57, m. 3.

MAGAZYN KONFEKCYI
M. MARCINEK,
11. NIECAŁA 11.
Po powrocie właściciela z zagranicy zaopatrzony został w wybór modeli najnowszych na sezon jesienny i zimowy. CENY UMIARKOWANE. 117 1—6

A LA PARISIENNE
ulica Chmielna Nr 30. mieszkania 2
(pomiędzy Marszałkowską a Bracką) w Warszawie.
Pracownia sukien, okryć damskich i ubranek dziecinnych. Wykonywa wszelkie roboty podług **paryzkich żurnali** z własnych i powierzonych materyałów po cenach umiarkowanych, przytem stroje i wogóle bielizna. Przy pracowni znajduje się upoważniona przez Rząd
SZKOŁA KROJU I SZYCIA
sposobem francuzkim podług metody ***Worth'a.***
6—6
Przy pracowni przyjmują się panienki do nauki i na stałe.
Wydają się patenta.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga **Plato v. Reussnera**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **Bez nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3-ch miesiącach**, po angielsku w **24 lekcyach.** Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w oprawie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, **tylko 2 rs.** Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy elementarz polsko-niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop 35, 30, i 10. **Najnowszy elementarz polski** z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem **340 figur**, tudzież ze wskazówkami pedagogicznemi kop. 25, 20, 15, 10 i kop 4. Powiastki **polsko niemieckie** 20 kop. Powieść **Ali-Baba i 40 zbójców** 15 kop. Powieść **Myśliwi Giemz** 10 kop
Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 20.
Skład główny u autora, (Pl. v. Reusnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie)

D-r Med. ADOLF KOZERSKI, 1112—12
odbywszy praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposi'ego w Wiedniu, udziela porady lekarskiej w chorobach skórnych i w... Od 1—2 przyjmuje wyłącznie kobiety.
Nr 3. PRÓŻNA Nr 3.

L. MERGENTHALER I SYN
ZAKŁAD
tapicersko-meblowy
6 KRÓLEWSKA 6,
W WARSZAWIE.
1132—10

CENY NIZKIE.
EDWARD DUSOGE
Nowy-Świat Nr 5.
Poleca się Szanownej Publiczności z następującemi artykułami potrzeb domowych: Łóżka żelazne, Umywalnie, Naczynia kuchenne, Kuchenki naftowe i benzynowe. Maszynki do kawy w 6-u różnych gatunkach. Młynki i Piecyki do kawy. Żelazka stalowe i mosiężne. Wanny, Kubły, oraz Wyroby nożownicze fabryki Gerlacha.
CENY NIZKIE. 119 1—6
CENY NIZKIE. CENY NIZKIE.

W zakładzie pożytecznych zajęć i zabaw gimnastycznych dla dzieci, MARSZAŁKOWSKA Nr 119, zapisy przyjmują się codziennie od 10-ej do 6-ej. 1181—10

Pralnia NATALII
28. Nowy-Świat 28. 7711—12
Po powrocie właścicielki z praktyki w Berlinie, przyjmuje do prania sposobem czystogospodarczym nie niszczącym bielizny.

Zakład wywabiania Plam i Farbiarnia
LUDWIKA STRASZKIEWICZA,
przy ul. Kruczej Nr 34,
105 3—6 W WARSZAWIE.

Pierwszorzędne Kaucyonowane Biuro
NAUCZYCIELSKIE
F. Sikorskiej,
w Warszawie, Niecała Nr 12.
Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu nauczycieli, nauczycielek i bon. 102 4—6

ZAKŁAD REPERACYJNY
i fabryka wyrobów 1024—10
TOKARSKO-GALANTERYJNYCH
Feliks Krzemiński
w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 3.

W Warszawie. 106—3—12
FABRYKA KWIATÓW
A. Rastawieckiej,
Bielańska 8,

Wyróżniająca się dobrocią
WODA KOLOŃSKA
ABÉ
jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych magazynach perfumeryjnych i galanteryjnych.
Skład Główny, Aleja Jerozolimska Nr 64, w Warszawie.
104 3—6

Krawiecki Zakład Reperacyjny
oraz
Pracownia Ubiorów Męzkich
Nowy-Świat 57, m. 5.
Przyjmuje obstalunki i reperacye po cenach najniższych. Wybawianie plam i czyszczenie sposobem chemicznym.
96—6—8
Nowy-Świat 57, m. 5.
Zakład Reperacyjny. Zakład Reperacyjny.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Августа 1891 г.
Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**
Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.
Dodatek.



N. 1. Suknia z długim stanikiem. Patrz ryc. 13.

N. 2. Suknia prinçesse z gorsecikiem i bluzką. Krój i plecy N. XXI.

Opis do N-ru 36.

N. 1 i 13. Suknia z długim stanikiem.

Odrobiona z żółtawo - białego wełnianego muślinu w rzucik i ze szlakami z fiołków; oryginalne przybranie stanowi oliwkowy reps jedwabny, użyty na kołnierz i mankiety i takaż wstążka 3 c. szeroka. Szlaki stanowią zakończenie wolantu 30 c. szerokiego, podłożonego w nagłówek 2 c. szeroki i przemarszczonego trzykrotnie, takiż wolant zastępuje baskinę. Spódnica 270 c. szeroka z przodu lekko podpięta z tyłu zebrana w fałdy zwrócone do środka, oszyta wolantem 490 c. długim. Na r. 1 widzimy jak przody stanika przemarszczone są z brzegów żabotowo, a przy wykroju pachy i na ramieniu ułożone w drobniutkie fałdki. Plecy podług r. 13 założone są w fałdy, u góry rozdzielone na 6 c. u dołu zsunięte blizko. Rękawy bufiaste zakończone 20 c. wysokim mankietem, w połowie z repsu, w połowie ze szlaku. Na przemarszczeniu wolantu naszyte są w odstępach 5 c. kawałki wstążki po 4 c. długie, tak jakby była przewleczona i wiązana w kokardy.



N. 5. Ubranie dla chłopczyka.

N. 2. Suknia prinçesse z gorsecikiem i bluzką. Krój i plecy N. XXI.

Przód sukni i gorsecika kraje się w jednym ciągu podług wymiaru na fig. 75 tylne części odcięte, dopełnione są brytem d przyszytym szwem odwracanym do pleców i boczka a z boku złączonym szwem od gwiazdki do dwukropka z brzegiem przodu przyfałdowanym podług znaczków. Szew środkowy przedni musi na wcięciu stanu wpadać do figury, gorsecik sznuruje się środkiem pleców. Dopełnienie stanika stanowi bluzka z białego matowego fularu, wokoło szyi przemarszczona w na-



N. 3—4. Kostjum z szelkami. Krój N. XI.



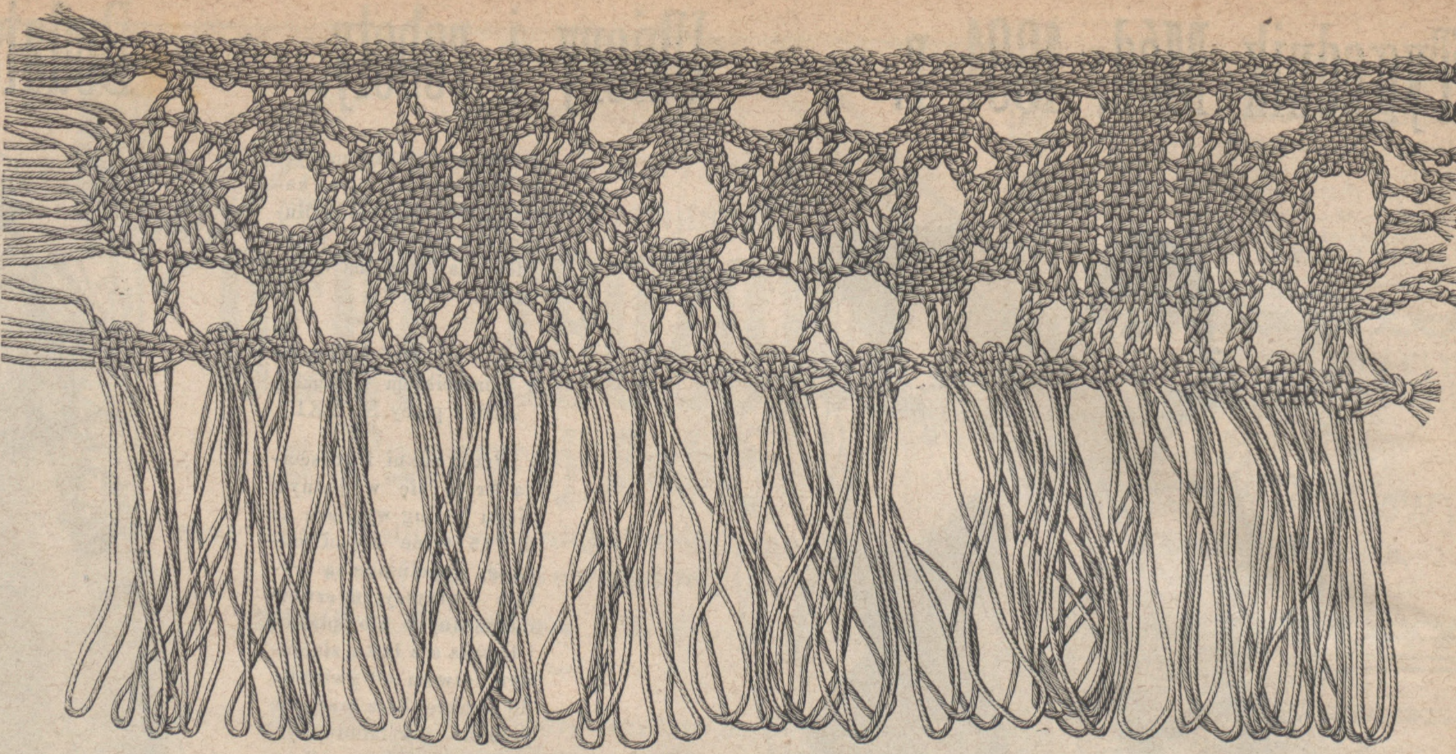
N. 6. Ubranie spacerowe. Patrz ryc. 23.

N. 8. Suknia ze stanikiem z rauwersami. Krój N. X. Patrz ryc. 24.

główek 5 c. szeroki. Rękawy w górze bufiaste u dołu zapięte na guziki.

N. 3—4. Kostium z szelkami. Krój N. XI.

Na r. 3 — 4 przedstawiamy oryginalny śmiały wybryk mody który wprowadza w użycie szelki przypięte zwierzchu na sukni. Łatwo odgadnąć że dodatek ten stosuje się do kostjumu do wiosłowania, powożenia, gier ogrodowych jak lawn-tennis, kroket i t. p. Doskonale leżący krój spódnicy można zużytkować do każdej sukni domowej czy spacerowej, z długim czy z krótkim stanikiem składa się ona z dwóch brytów a i b wymierzonych na fig. 34. Dla dobrego leżenia materyał podwójnej szerokości wzięty jest skośnie, kierunek prosty nitek na brycie *a* oznacza poprzecznie przecinająca go linia kropkowana, zaś krótdany szeroki obrąb. Naszyte z boku szmuklerskie patki i sprzączki naśladują tylko zapięcie. Model sukni z piaskowego sukna, miał bluzkę z fularu koloru lila, z tyłu dopełnioną karczkiem z przodu szmizetką fałdowaną. Szerokie rękawy zakończone sztylpą obcisłą. Pasek i szelki z taśmy jedwabnej lub wełnianej koloru bluzki.



N. 8. Koronka zakończona frendzlą. Robota klockowa. Patrz fig. 83—84.



N. 9. Stoliczek z klapkami. Patrz ryc. 10—11.



N. 10. Serwetka haftowana lub blacik do stoliczka ryc. 9. Patrz ryc. 11.

N. 5. Ubranie dla chłopczyka.

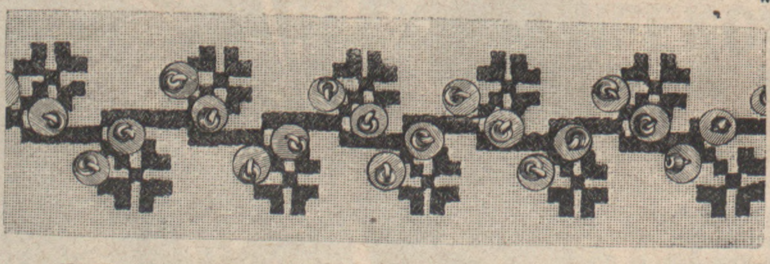
Odrobione z piaskowego beżu i brązowego kaszmiru, może być także uszyte w porze letniej z materyału do prania. Krótkie majteczki przypinają się na guziki do spodniego stanika; bluza składa się z dwóch prostych brytów z przodu i z tyłu jednakowo przymarszczonych i przyszytych do małego okrągłego karczka. Zapięcie wypada na ramieniu pod 4 c. szeroką patką z dziurkami zapinaną na guziki u bluzki; na drugiem ramieniu zapięcie jest tylko naśladowane. Kołnierz pasek i pliska 4 c. szeroka.

N. 6 i 23. Ubranie spacerowe.

Rycina 6 i 23 przedstawia przód i plecy sukni z białego wełnianego materyału w kolorowe gałązki. Spódnica bez żadnego przybrania przedłużona w mały tren zapina się na staniku wszyta w bardzo szeroki pasek. Przody i plecy stanika pokryte marszczonym tiulem przez środek, z boków zaś materyałem zebranym w fałdy na ramionach i w pasie. Przemarszczenie tworzy około szyi okrągły karczek, na r. 6 zamiast tiulu wzięta byłakoronka 16 c. szeroka, obrócona brzegami do środka. Epolety koronkowe przymarszczone z kawałków 32 c. długich, kokardy z granatowej repsowej wstążki 3 c., szarfa z 6 c. szerokiej.

N. 7 i 24. Suknia ze stanikiem z ranwersami. Krój N. X.

Czarny fular w ponsowe grochy przybrany przy staniku czarną koronką! fig. 33 daje wymiar spódnicy a linia kropka linijka kropkowana oznacza środek przodu. Obydwa bryty są od gwiazdki do dwukropka i od krzyżyka do punktu połączone z sobą z tyłu szwem zwyczajnym, z przodu brzeg a podwija się pod spód i przystębnowywa na brycie b. Górny brzeg ma zaszewki zastosowane podług figury i przymarszczony jest do paska od 1 do 48 i od 40 do 112; między zaszewkami wszywa się gładko. U dołu sukni



N. 12. Szlaczek wyszyty ściegiem krzyżowym i blaszkami.



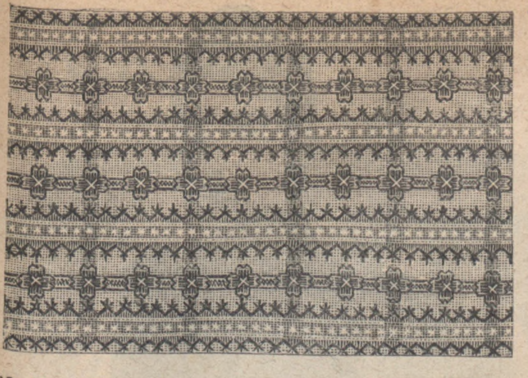
N. 13. Suknia z długim stanikiem. Patrz ryc. 1.



N. 11. Gałązka wyszyta ściegiem sznureczkowym. Wielkość naturalna. Patrz ryc 10.

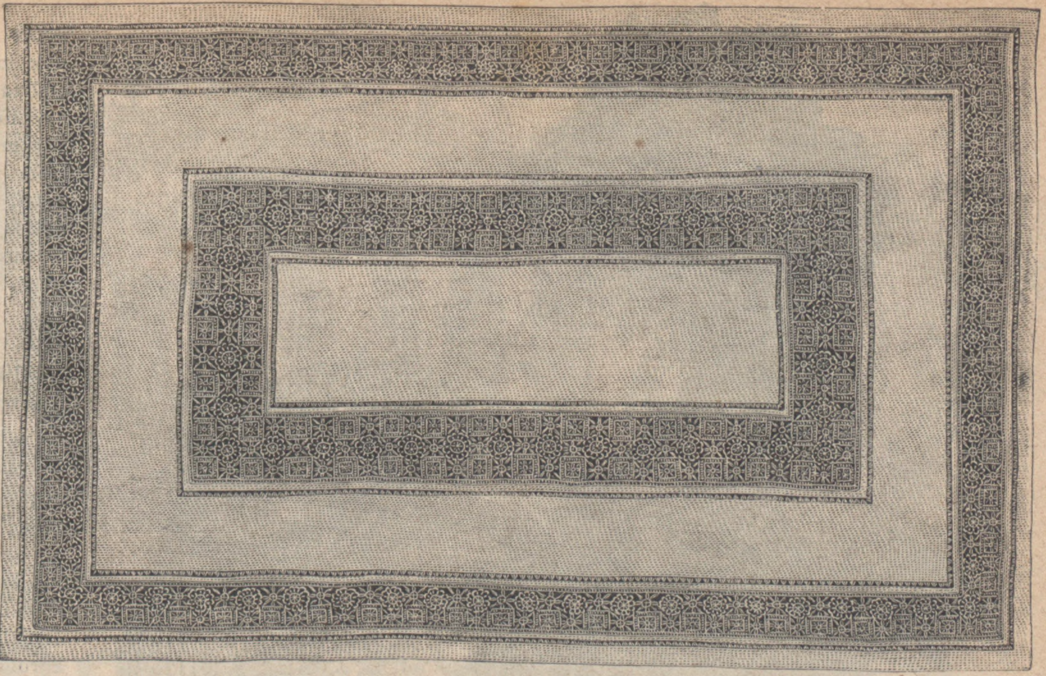


N. 14 Kasetka do pisania. Płaskorzeźba, deseń fig 36.



N. 15. Wyszycie na tło serwety. Patrz ryc. 15 i fig. 87.

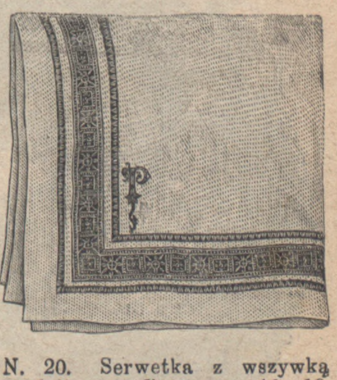
kowana oznacza środek przodu. Zaszewki i fałdy zbierają brzeg górny do potrzebnej objętości, a podłożony pod spód zachodzi na brzeg stanika. Z tyłu na środku luźno puszczone brzegi zachodzą na siebie pasując krzyżykiem do krzyżyka, przyczem część górnego brzega (do gwiazdki) także jest spuszczona i wraz z brzegiem bocznym tworzy fałdy wachlarzowe (patrz r. 24). Dół sukni zakończa wolant 22 c. szeroki ozdobiony wszywką koronkową 8 c. szeroką przemarszczony u góry w nagłówek. Stanik ma podwójne przody, jedne gładkie zapięte środkiem na haftki, drugie zwierzchnie krajane w jednym ciągu z ranwersami po odwinięciu których odsłania się plastron z ponsowego atlasu i fałdowanej koronki. Kapotka koronkowa.



N. 19. Obrus z wszywką szydełkową. Patrz ryc. 20 i 21.



N. 18. Litera do znaczenia bielizny.



N. 20. Serwetka z wszywką szydełkową. Patrz ryc. 18—19.

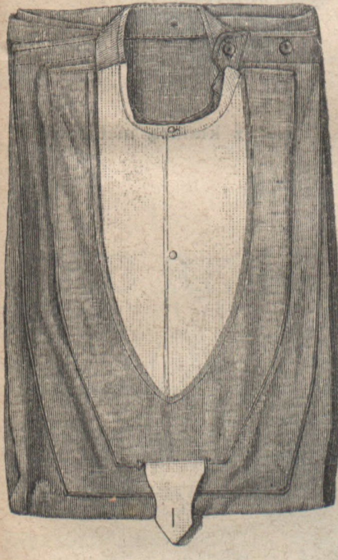
N. 8. Koronka zakończona frendzlą.

Patrz figura 83—84.

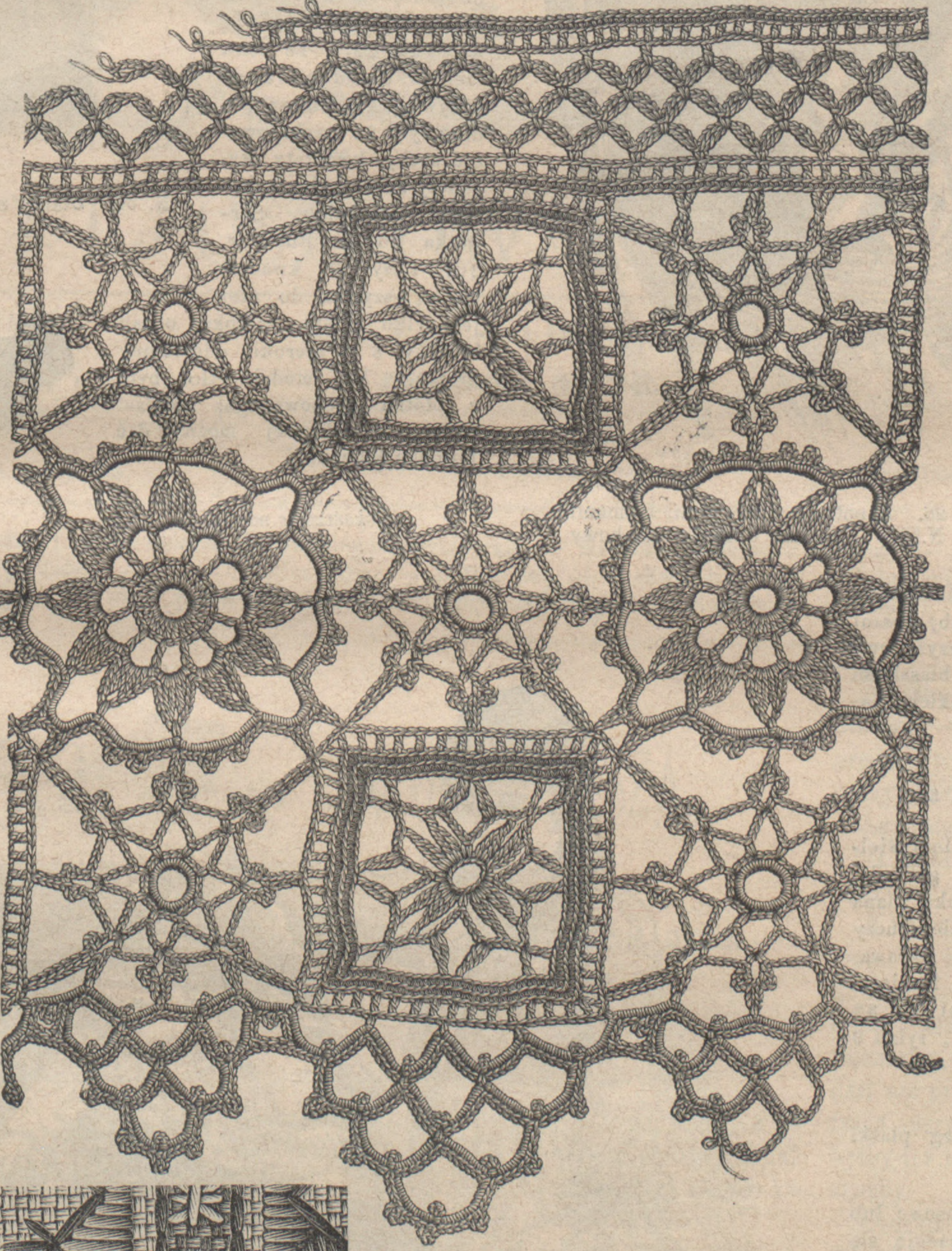
Odrabia się 15 parami klocków podług napięcia deseniu i tabelki fig. 83—84, z dość grubego materyału i służy do zakończenia serwet, ręczników i t. p.

N. 9—11. Stoliczek z klapami.

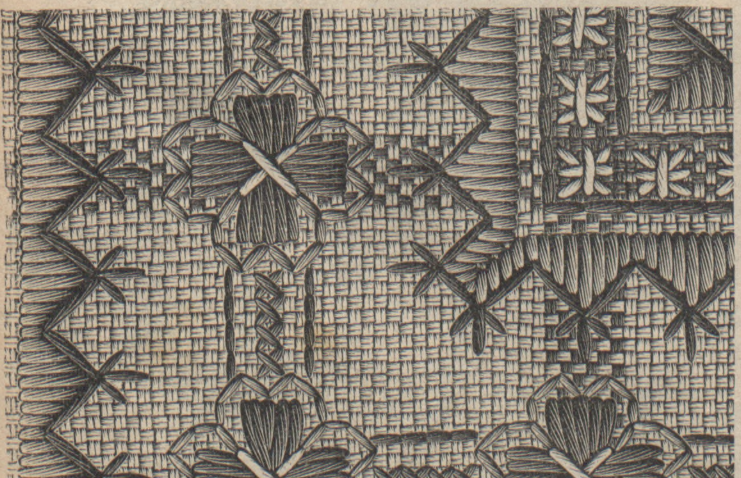
Zwierzchni blacik liczący 35 c. w kwadrat otoczony jest czterema klapami zaokrąglonemi u dołu, 20 c. w środku szerokiemi. Przyozdobienie stanowi deseń sztyftem wypalany a całe tło jest punktowane, po wycieniowaniu liści i dodaniu żyłek można dla większego efektu deseń wykolorować, malując liście zielone, łodyżki jasnobrązowe a kwiaty ponsowe. Rycina 10 przedstawia w maleńkim formacie wzór serwetki odpowiedniej na taki stoliczek, którą wyszywa się ściegiem sznureczkowym kolorową bawełną. Na r. 11 daliśmy gałązkę w naturalnej wielkości; liście wyszyć można trzema cieniami zielonemi i oliwkowemi, łodyżki dwoma brązowemi, kwiaty cieniowane ponsowe z kielichami brązowemi i żółtemi pręcikami. Brzegi serwetki najlepiej objąć i ostębnować taśmą, można dla większej ozdoby oszyć frendzlą w kolorach takich jak haft.



N. 17. Koszula męzka wełniana z podkładaną szmizetką. Krój N. XIV



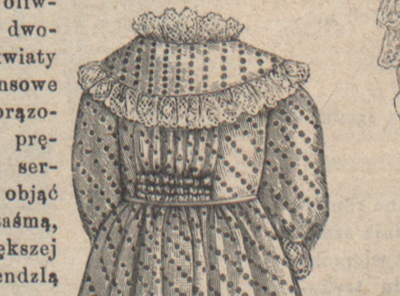
N. 21. Koronka szydełkowa (naśladowanie reticelli).



N. 16 Narożnik ściegiem płaskim i krzyżykami. Patrz ryc. 15.

N. 12. Szlaczek wyszyty krzyżykami i blaszkami.

Daje się zastosować do przyozdobienia



N. 22. Sukieneczka dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 35. Krój N. V.



N. 23. Plecy do ryciny 6.

N. 24. Plecy do ryc. 7. Krój N. X.



N. 25. Kapotka słomkowa. N. 28. Kapelusz tiulowy. N. 26. Kapotka z szerokiemi końcami. N. 27. Kapelusz okrągły słomkowy.

różnych rzeczy serwet, ubrań dziecinnych i naśladowany jest z wzorów używanych w Bukowinie do ozdoby koszul kobiecych nazwanych „camesoi.“ Ścieg krzyżykowy z kolorowej włóczki lub jedwabiu ozdobiony blaszkami złotemi i srebrnemi, przytrzymanemi maleńkiemi paciorkami.

N. 14. Kasetka do pisania. Patrz fig. 36.

Fig. 36 na arkuszu z krojami daje w naturalnej wielkości czwartą część deseniu z całą środkową gwiazdą, zdobiącego wierzch szkatułki. Płaskorzeźba taka znana jest czytelniczkom od lat kilku, zresztą opis nie nauczy tej roboty, do której niezbędna zręczność i wprawa. Wymiar można zmieniać dowolnie model do r. 14 liczył 27 c. długości, 22 szerokości, blacik zwierzchni był 32 c. długi, $26\frac{1}{2}$ szeroki! wysokość przednia $4\frac{1}{2}$, tylna 9 c. nóżki 3 c. wysokie.

N. 15—16. Wyszycie na serwetę. Ścieg płaski i krzyżowy. Patrz fig. 87.

Tło stanowi kanwa Jawa biała w pasy ponsowe lub niebieskie której nitki łatwe do obliczenia nadają się najlepiej do takiego wyszycia. Na r. 15 daliśmy w maleńkim formacie wzór wyszycia na całem tle a r. 16 przedstawia tylko narożnik w naturalnej wielkości. Do wyszycia użyta bawełna niebieska w dwóch cieniach i biała, ta ostatnia służy na krzyżyki w gwiazdach niebieskich i w szlaczku prostym.

N. 17. Koszula męzka wełniana z podkładaną szmizetką. Krój N. XIV.

Kupiona gotowa koszula wełniana, zapinana na ramieniu da się z łatwością przygotować do podkładania szmizetki płóciennej. W tym celu potrzeba na wierzchu gorsu przystębnować część oddzielną z materyału trykotowego wykrojoną podług fig. 54. Jak to widać na r. 17 u dołu zostaje otwór do wysunięcia klapki z dziurką do przypięcia szmizetki. Fig. 51—53 dają formę szmizetki którą szyje się z potrójnego materyału.

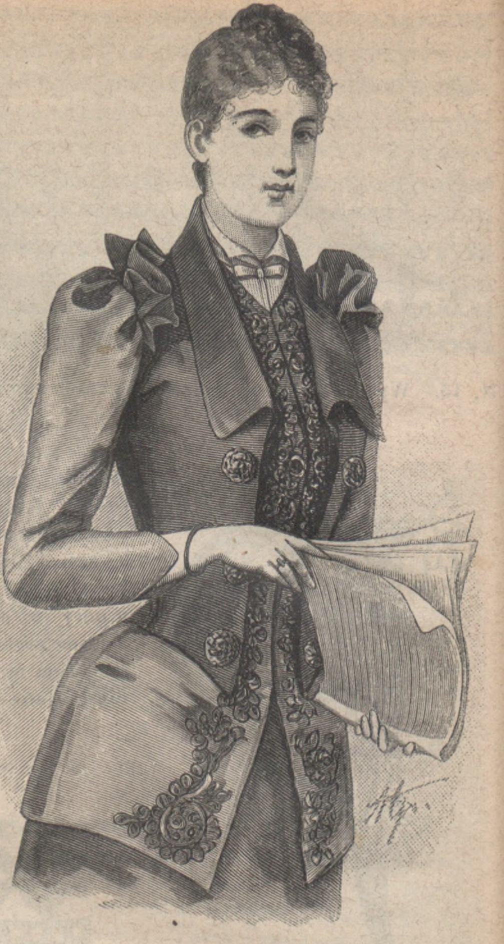
N. 18. Litera do znaczenia bielizny stołowej.

Kształt tej litery naśladowany jest ze starożytnego wzoru ręcznego pisma zachowanego na pargaminie jeszcze z IX wieku. Stosownie do czego ma służyć, do obrusów serwetek lub nawet chustek do nosa albo też do bielizny na pościel, zmienia się wielkość litery. Wykonywa ją się ściegiem płaskim i punkcikami, kolorową bawełną, można zastosować ją na saszetce i wyszyć jedwabiem.

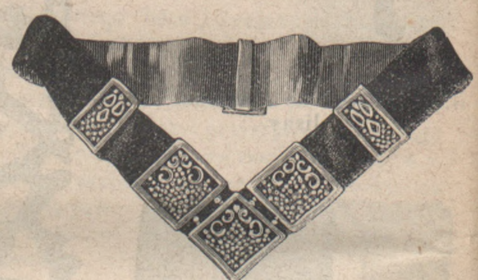
N. 19 — 20. Obrus i serwetka z wszywką szydełkową.

Rozłożony na ryc. 19 obrus liczy 356 c. długości a 256 c. szerokości i ozdobiony jest dwoma rzędami wszytą robotą szydełkową, naśladującą koronkę reticella, którą opiszemy przy r. 21. Tło płócienne zakończone obrębem z kratką ażurową, przedziela wszywka 22 i 18 cent. szeroka. Odrabiając wszywkę koronkową podług ryc. 21 trzeba uważać ażeby kwadraty wypadały koniecznie w każdym narożniku. Serwetka do garnituru (r. 20) liczy w kwadrat 75 c., wszywka do niej jest tylko 4 cent. szeroka, obrąb brzeżny 8 c. szeroki, oddzielony kratką. Na modelu tło było z płótna krepowanego; zamiast roboty szydełkowej można dać koronkę klockową.

(Dokończenie nastąpi.)



N. 30. Stanik z kamizelką z długą askiną. Krój N. XXIII.



N. 29. Pasek z klamrą metatową.



N. 31. Sukienka z marszczeniem dla dziewczynki lat 8—10. Krój N. IX. — N. 32—33. Wózek i przykrycie na nogi. Krój N. XXII. — N. 33. Kapelusik słomkowy. — N. 35. Sukieneczka dla dziewczynki lat 3 — 5. Krój N. V. Patrz ryc. 22.